

ROZDZIAŁ II

W Papenburgu

Punkt zbiorczy więźniów wysyłanych do obozów w głębi Rzeszy był usytuowany w starym forcie nad Wartą w Poznaniu, w tzw. Czerwonej Krowie¹ (dzisiejsza politechnika). W tym forcie było bardzo dużo więźniów i ciągle ich przybywało. Tłok był niemożliwy... Zaczynało być gorzej niż we Wronkach, skąd ciężarowym samochodem zostałem przywieziony wraz z kilku innymi współwięźniami. Po paru dniach pobytu w tym forcie, zaczęto przygotowywać transport. Sprawdzanie list i danych trwało całymi godzinami. W końcu podstawiono pociąg złożony z wagonów towarowych (bydlęcych) i zaczął się załadunek. Do każdego wagonu ładowano nas około stu osób. Po liczbie wagonów mogę w przybliżeniu określić, że było nas tam znacznie powyżej tysiąca osób.

I tak rozpoczęliśmy podróż w nieznane... A była to podróż typowa dla takich transportów. Po załadowaniu i zaryglowaniu wagonów, kontakt ze światem był tylko przez zakratowane maleńkie okienka, u góry wagonu. Przy takiej liczbie ludzi na dość ograniczonej powierzchni nie można było sobie pozwolić nawet na porządne wyprostowanie kości. Przez te dwa, czy też trzy dni, bo rachubę czasu zupełnie zatraciłem, nie otrzymaliśmy jedzenia

¹ „Czerwona Krowa” – Reduta Katedralna na południowym krańcu wyspy Ostrów Tumski, utworzonej przez dwa przeciwpowodziowe kanały ulgowe Warty (Vorfluth Canal I i II), spięła zachodni i wschodni wał Cytadeli Tumskiej. Tuż obok fortu wiodła ważna droga komunikacyjna miasta – ziemna Grobla Berdychowska, przebiegająca w poprzek obu kanałów i łącząca lewobrzeżne Chwaliszewo z prawobrzeżnym Berdychowem. W roku 1864 nastąpiła zmiana nazw dzieł twierdzy. Dotychczasowe wywodziły się od punktów terenowych, wsi i kościołów (np. Fort Winiary, Luneta Cegielnia), a nowe od nazwisk pruskich generałów, najczęściej ministrów wojny Prus (Bonin), dowódców twierdzy (Steinacker), Generalnych Inspektorów Korpusu Inżynierów i Twierdz (Aster) oraz dowódców V Korpusu Armijnego (Thümen). Redutę Katedralną nazwano Fortem Radziwiłła – z uwagi na charakterystyczną barwę cegły przez mieszkańców miasta fort zwany był Czerwoną Wieżą lub wręcz Czerwoną Krową. Przetrwał rozbiórkę twierdzy na początku XX w., spalony w 1945 roku, rozebrany został kilka lat później.

ani picia. Zaduch trudny do opisania, tym bardziej, że tzw. kibel kipiał od zawartości i nie pomagało prowizoryczne przykrycie...

Trochę więcej świeżego powietrza było tylko w pobliżu tych zakratowanych lufcików, do których przesuwaliśmy się rotacyjnie. Niestety, słabsi koledzy zostali na podłodze w wagonie, na zawsze... Umierającym nie byliśmy w stanie pomóc...

Zdarzył się wypadek, że jeden z współwięźniów wpadł w szal, w jakiś obłąd... Biegał po głowach swoich kolegów, z jednego końca wagonu na drugi koniec, krzycząc i miotając się... Ponieważ działo się to w czasie jakiegoś krótkiego postoju na trasie, usłyszał te podejrzanе okrzyki strażnika, który stał gdzieś w pobliżu. Otworzył drzwi i zajrzał do środka... Zgodnie z rozkazem podanym nam przed wyjazdem, wszyscy siedzieliśmy na podłodze wagonu. Już miał zamknąć drzwi, gdy ten chory znów się poderwał, zaczął krzyczeć i wymachiwać rękami. Nie pomogły ręce kolegów, którzy chcieli utrzymać go na miejscu.

– Nie zamykaj tych cholernych drzwi, bo się tu wszyscy podusimy... – krzyczał. Wyrwał się ściągającym go na dół rękoma kolegów i skacząc po głowach innych zbliżał się do strażnika.

– Dlaczego nie dacie nam pić... Wody... Dajcie wody... – wołał z obłądem w oczach. Strażnik oczekiwał na niego z zadziwiającym spokojem, a gdy podszedł do niego bliżej, jedno krótkie uderzenie kolbą karabinu uciszyło go na zawsze...

Pragnienie... To był największy problem. Wielokrotnie błagaliśmy o wodę, ale bezskutecznie...

Wreszcie pociąg zatrzymał się na niewielkiej stacyjce z dużymi rampami i zaczęło się wyładowywanie transportu. Do dziś nie wiem dokładnie, gdzie to było. W każdym razie gdzieś w okolicach Papenburga². Kompletnie wyczerpani znaleźliśmy się na rampie, gdzie natychmiast rozpoczęto formowanie kolumn marszowych. Ustawiano nas piątkami. Esesmani czynili to z wielką wprawą, mając do pomocy specjalnie wyszkolone psy.

W końcu kolumny ruszyły w drogę. Nadal nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, dokąd idziemy i co nas tam czeka... Szliśmy tak może z pięć, sześć godzin... Mimo bicia i szczucia psami tempo marszu było niewielkie. Byliśmy zbyt wyczerpani, głodni i spragnieni, tym bardziej, że był to piękny, lipcowy dzień, ale na nasze nieszczęście dość upalny. Esesmani i ich psi towarzysze otaczali nas ze wszystkich stron. Niestety, niektórym kolegom brakło sił, by iść dalej. Niewiele można było im pomóc, bo każdy ledwie trzymał się na

² Papenburg – miasto w północno-zachodnich Niemczech nad rzeką Ems, obecnie liczy około 32 tysięcy mieszkańców.

nogach. Jeżeli ktoś padł zemdlony, lub z wyczerpania, były to już dla niego wtedy ostatnie chwile cierpień... Esesmani czynili swoją powinność... Droga była usłana trupami...

I tak dotarliśmy przed wspaniałą bramę do obozu *Strafgefängenenlager Papenburg, Lager V, Neusustrum*³. Pierwsze wrażenie przygnębiające... Wchodziłem za ogrodzenie z bijącym sercem... Cały teren obozu był ogrodzony drutem kolczastym, a jeden z nich był pod napięciem elektrycznym. Równe rzędy baraków, wartownie, plac. Na narożnikach były strażnice, a na nich reflektory i esesmani z bronią gotową do strzału...

Było już późne popołudnie, a my nadal głodni, spragnieni, wyczerpani, czekaliśmy i czekaliśmy... Minęło jeszcze kilka dni nim dowiedziałem się, że to był 28 lipca 1940 r.

Ustawieni przed blokiem przyjąć czekaliśmy na ceremonię pasowania na więźnia obozu. Ogołocono mnie ze wszystkiego... Zabrano wszelkie dokumenty, rzeczy wartościowe i odzież. Całej tej ceremonii towarzyszyły krzyki, bicie i szykanowanie... Wreszcie stałem goły z wypisanym na piersi kopiowym ołówkiem numerem i od tego momentu przestałem być człowiekiem, a stałem się tylko numerem... Mój numer to 1194⁴.

Zanim trafiłem na barak poddany zostałem jeszcze dokładnym oględzinom „lekarskim”. Zagłądano do ust, a także do odbytnicy i wszędzie, sprawdzając nie tyle stan sanitarny czy zdrowie, ale czy przypadkiem czegoś więzień nie ukrył, nie przemycił. Jeżeli chodzi o usta to zapewne chodziło o złote zęby... Dobrze, że ich nie miałem, bo ci oprawcy wiedzieli, jak je pozyskać... Później jeszcze fryzjer, gdzie golono włosy tępymi brzytwami, no i dezynfekcja. Trzeba było wskoczyć do beczki napełnionej jakimś żrącym płynem, zanurzyć się z głową włącznie... Wreszcie, kopani, bici, popychani przez kapo i funkcyjnych, zostaliśmy wpędzeni do bloku, gdzie otrzymaliśmy odzież. Była już noc...

Ja, mając wtedy dziewiętnaście lat, zostałem przydzielony na blok młodocianych. Był to chyba blok numer 6, ostatni w rzędzie... Blokowym był Ślázak o nazwisku Prokop, starszy gość, więzień z zielonym winklem (skazany za przestępstwo kryminalne). Miał około 50 lat i był człowiekiem o pogodnym usposobieniu. W zasadzie mieliśmy dużo szczęścia, bo był to dobry człowiek, w przeciwieństwie do innych blokowych, morderców i sadystów...

Baraki były ustawione szczytem do głównej drogi. Do baraku nie wchodził głównym wejściem, tylko od tyłu. Przed barakiem (blokiem) był plac apelowy, miejsce zbiórek i psychicznego maltretowania. W każdym baraku

³ Patrz zał. nr 4 – Potwierdzenie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

⁴ Tamże.

była jadalnia, krótki przedsionek i pomieszczenie dla „pana” blokowego, sypialnia, na końcu łaźnia i ustępy. W baraku było około 100–150 ludzi, a czasem nawet i 300, jeżeli były zwiększone „dostawy” więźniów i trzeba było ich gdzieś pomieścić.

Musieliśmy szybko zapoznać się z obozowymi procedurami, bo inaczej można to było odczuć na własnym grzbiecie. Każde naruszenie regulaminu to dotkliwa kara, albo natychmiast do wykonania, albo po przyjsciu do bloku. Najbardziej przestrzegano nas przed zbliżaniem się do ogrodzenia. I wcale nie najbardziej niebezpiecznym było zbliżenie się do drutów wysokiego napięcia. Niebezpieczeństwo największe tkwiło na wieżach strażniczych... Nudzący się tam strażnicy z bronią mieliby trochę „ubawu”, gdyby się ktoś zawieruszył...

Dzień zaczynał się pobudką o piątej. Później ścielenie łóżek, co było wielką ceremonią, często połączoną z karnymi ćwiczeniami, „sportem” i biciem. Wszystkie łóżka musiały mieć jedną wysokość, niezależnie, czy było dużo słomy w siennikach, czy mało. Podglówki również równo zagięte, jeśli któreś z łóżek nie było odpowiednio zasłane, ceremonia powtarzała się z wielkimi szyszanami. Oczywiście, wystarczyło, że jedno z łóżek miało jakieś usterki... Później mycie się w zimnej wodzie w korytach, nad którymi były krany.

Porannego golenia nie było, ponieważ tę czynność mógł wykonywać tylko fryzjer. I robił to dwa razy w tygodniu. Wynikało to z tego, że tylko on mógł mieć brzytwę. Na takie ostre narzędzie trzeba było mieć szczególne uprawnienia... Strzyżenie włosów odbywało się raz w miesiącu, na goło z 1,5-cm paskiem (bruzdką) wygoloną brzytwą, żeby było widać z daleka, że to jest więzień.

Do stołówki wchodziliśmy tylko w onucach, „klumpy”⁵ zdejmowaliśmy przed wejściem. Śniadanie składało się z pół litra czarnej kawy, zabarwionej mlekiem i kromki czarnego chleba, około 200 gram. Śniadanie jedliśmy stojąc... W jadalni były stoły, ale nie mogliśmy przy nich siadać, ponieważ menażki pozostawiały ślady, a stoły musiały być zawsze czystutkie dla osób kontrolujących, a w szczególności dla delegacji zagranicznych, które w ten sposób przekonywano, że tak pięknie i humanitarnie jest we wszystkich obozach. Za pobrudzenie stołu było pięć „razów” na tyłek. Więc podkładaliśmy czapkę, żeby nie poplamzić stołu i biada temu, kto wylałby kawę lub wodę na podłogę. Podłoga była z sosnowych desek, posmarowanych „sekatywą”, takim lakierem do drewna. Musiało się wszystko świecić...

Apel odbywał się na placu przed blokiem. Ustawieni w szeregu po pięciu, po sprawdzeniu obecności, na odpowiedni sygnał formowaliśmy kolumny,

⁵ Klumpy – w żargonie więźniów, obuwie wystrugane z drewna lub zrobione na podszwie drewnianej z wierzchem skórzanym; chodaki drewniane.

komanda⁶ i następował wymarsz do pracy. Czas pracy był uzależniony od pory roku... Zawsze po apelu szliśmy do pracy i byliśmy tam do zmroku. Pracowaliśmy przy kopaniu rowów odwadniających, kopaniu torfu, a także „regulowaniu” struktury gleby. Praca bardzo ciężka i uciążliwa, w bagiennym, podmokłym terenie. By nie zapadać się w podmokłą glebę, nasze drewniane „klumpy” miały szczególną konstrukcję. Każdy „klump” był wykonany z jednego kawałka drewna i miał bardzo rozszerzony spód. To prawda, że chodzenie w takim obuwiu przypominało kaczy chód, ale pozwalało utrzymywać się na powierzchni grząskiego gruntu. Oczywiście do pewnego stopnia...

Najbardziej nieprzyjemne było kopanie, gdy stało się po kolana w wodzie. Wykopany rów trzeba było wzmocnić faszyną i okołkować, by brzegi się nie osuwały. Każdy miał wyznaczoną normę do wykonania i biada mu, jeżeli tej normy nie wykonał... Inną morderczą pracą było tzw. regulowanie gleby. Polegało to na przesypywaniu warstw gleby, górną na dół, a dolną na górę. I przy tej pracy była wyznaczona norma. Najczęściej było to przerzucenie 12 kubików ziemi. *Vorarbeiter* rozliczał, czy każdy wykonał swoją normę, jeżeli nie, to w zależności od tego, ile brakowało do normy, kapo przydzielał baty. Czasem nawet i 25 batów. Bici byliśmy przez kapo i strażników pod byle jakim pretekstem... Coś źle ułożone, coś nie tak położone, zbyt wolno, za mało, za dużo – baty, kopniaki, wyzwiska... Oczywiście praca i warunki przerastały nasze siły i możliwości. Najślabi ginęli szybko... Czasem tym, którzy trzymali się jeszcze na nogach, pomagaliśmy i jakoś dochodzili do obozu. Innym nie mogliśmy pomóc, bo nikt nie miał na tyle sił...

Obiad dowożony był bezpośrednio na miejsce pracy. Najczęściej była to zupa z brukwi lub jakaś inna. Każdy bardzo cieszył się, jak znalazł w menażce ziemniaka. Po takim obiedzie człowiek był mniej głodny, ale mordercza praca szybko doprowadzała brzuch do poprzedniego stanu...

Po przyjeździe z pracy znów odbywał się apel. Stan faktyczny więźniów zawsze musiał zgadzać się z ewidencyjnym. Biada, jak nie mogli się doliczyć... Trzeba było stać i czekać, aż wszystko się wyjaśni. Zawirowanie w tej materii powstawało zazwyczaj, gdy ktoś z tych, których przynieśliśmy, nie zdążył dostać się na „rewir”⁷, bo w międzyczasie zmarł...

Inną z bardzo dokuczliwych szykan były też ćwiczenia po wieczornym apelu. „*Mützen ab*”, „*Mützen auf*” i oddawanie honorów esesmanom... Biada temu, który się spóźnił. Czekwały go wtedy karne ćwiczenia, po których człowiek był półżywy. Najgorsza jednak była niedziela wolna od pracy, bo wtenczas była planowa gimnastyka, a w tym tzw. żabka, skakanie, przy-

⁶ Komando – w obozach hitlerowskich grupa robocza więźniów podlegająca niemieckiemu nadzorcy.

⁷ Rewir – szpital obozowy w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

siadanie, robienie pompek i bieg, aż do zupełnego wycieńczenia. Kierowali tym zawsze funkcyjni, jak blokowy i sztubowy, pod nadzorem *Blockführera*.

Po zakończonym apelu wreszcie przychodził czas na kolację... Procedura wykorzystania stołówki zawsze była podobna, taka jak przy śniadaniu, a i sama kolacja niewiele się różniła od posiłku porannego. Dwa razy w tygodniu otrzymywaliśmy małeńki kawałek salcesonu, kawałek sera albo łyżkę marmolady. Do tego około 200 g chleba, kawałek kawy lub pół litra zupy.

Po kolacji powinniśmy iść spać, ale to zależało od blokowego. Jak blokowy pozwolił, to można było iść do sypialni, usiąść na łóżku i parę minut sobie porozmawiać. Taka możliwość była, ale raczej tylko teoretycznie... Zawsze były jakieś inne zadania, planowe lub ponadplanowe, które zabierały nam czas i siły. Na przykład raz w tygodniu, a czasem dwa razy było tzw. odsważanie. Musieliśmy się rozebrać, ubranie ułożyć w kostkę i tylko w kalesonach iść do „odsważaczy”, którzy przeglądali lampami, czy nie mamy wszy lub innego robactwa w kroczu, pod pachami i w głowie. Oczywiście było to uciążliwe i nieprzyjemne, tym bardziej, że trzeba było bardzo długo stać, nim się doczekało na swoją kolejkę...

Przed snem ubrania musiały być ułożone w kostkę na taborecie i ustawione w jadalni pod stołem, na swoim miejscu. Wszystko zależało od humoru blokowego, czy stan kostek odpowiadał mu, czy nie... Kary za takie przewinienia nie były indywidualne, tylko zbiorowe. Czasami był to dodatkowy „sport”, a czasem bicie i dodatkowe prace do wykonania. Najostrzejsze kary były za przemycenie czegoś do sypialni. Wtedy rozpętywało się piekło, które zabierało nam dużo czasu, a także odbierało nadwątlone siły...

Jeżeli chodzi o ubranie więźniów, to były to typowe obozowe „pasiaki” – bluzy, spodnie i czapki. Zimą dochodził do tego cienki płaszcz, też w paski. Bielizna – to kalesony, koszula i na nogi onuce. Na nogach „klumpy”, z tym, że kopiący w wodzie mieli „klumpy” obszyte skórą, pozostali całe z drewna. Późniejsze transporty otrzymywały odzież po więźniach, w znacznie gorszym stanie niż my.

Wszyscy więźniowie mieli na plecach wycięte prostokąty i wsadzoną łatkę. Na bokach bluzy i spodnie miały wymalowany pas ciemnobrązową farbą olejną. Chodziło o to, by z daleka było widać, że to idzie więzień. Ponadto na lewym boku na piersi był numer i taki sam numer był na prawej nodze, powyżej kolana. Numer ten zastępował nazwisko i trzeba było się nim sprawnie posługiwać wszędzie tam, gdzie normalnie używa się nazwiska. Oprócz numeru naszyty był „winkiel” (trójkąt). W zależności od przeszłości więźnia miał on różny kolor: więźniowie polityczni – czerwony, kryminalni – zielony, sabotażyści – czarny, zboczeńcy seksualni – różowy. Ponadto, na tym trójkącie była jeszcze umieszczona litera i oznaczała ona narodowość

więźnia, np. P – Polak, F – Francuz, R – Rosjanin itd. Więźniowie Niemcy mieli czysty winkiel.

Dodatkowym utrudnieniem w okresie zbliżającej się jesieni był brak odzieży ciepłej. Klimat w tych okolicach był bardzo wilgotny i wietrzny, a dni stawały się coraz chłodniejsze. Ciężka praca, niskokaloryczne wyżywienie, a przede wszystkim mordercze warunki pracy wpływały na szybkie wykańczanie się więźniów. Mnie też zaczęły przychodzić do głowy różne myśli... Czułem, że z dnia na dzień staję się coraz słabszy i nie daj Bóg jeszcze jakaś mała infekcja czy przeziębienie i może być koniec... Modliłem się, by Bóg pomógł mi jakoś przeżyć...

Być może Pan Bóg mnie wysłuchał, bo oto zdarzył się taki przypadek...

Pewnego dnia, w czasie wieczornego apelu zaszczycił nas swą obecnością *Lagerführer*. Widać było, że przyszedł na nasz apel, nie by go służbowo wizytować, czy sprawdzać, ale raczej by zaliczyć wieczorny spacer ze swym ulubionym wilczurem. Oczywiście, *Rapportführer* złożył regulaminowy meldunek i przez chwilę o czymś rozmawiali. Wilczur biegał sobie po placu i w pewnym momencie przebiegając przed naszym szeregiem, zszedł na pobocze drogi i się załatwił, mówiąc prościej, zrobił „kupę”. Normalnie uporządkowanie czegoś takiego należało do odpowiedzialnych za porządek na placu. *Lagerführer* rozmawiając z *Rapportführerem* cały czas dyskretnie obserwował swojego pupila. Widząc ostatni wyczyn wilczura, zawołał:

– Na... – przebiegło mi przez myśl, że zaraz zostaniemy pogonieni za to, że pies załatwił się w takim miejscu. – *Nimmt das weg* – dodał ostrzej.

– Numer 1194. Czy mogę...? – powiedziałem występując z szeregu. Pośpiech w takich sytuacjach był wskazany, bo mógł zażegnać możliwość nałożenia na nas jakiejś zbiorowej kary.

– Tak... Usuń to... – zezwolił, ale jakoś tak miękko, bez typowej dla niego wrogości, którą okazywał nam przy każdej okazji.

Wziąłem „kupkę” do ręki i wstąpiłem do szeregu. Nie był to zbyt wielki wyczyn, gdyż „kupka” była dość „zwięzła” uformowana, co było na pewno wynikiem trochę lepszego odżywiania niż my mieliśmy.

Lagerführer zakończył rozmowę i poszedł dalej, ale w pewnym momencie odwrócił się i zawołał:

– Zapisz ten numer...

– Oczywiście – *Rapportführer* tylko przytaknął.

Następnego dnia rano przy apelu, słyszę od wartowni, że jest wywoływany mój numer z poleceniem, że mam się stawić przed wartownią. Wszystkie komanda wyszły do pracy, a ja zostałem w obozie i poszedłem pod bramę wyjściową. Wtedy do mnie przyszedł *Rapportführer*, chwilę mi się przyglądał, a następnie powiedział:

– Od dzisiejszego dnia nie będziesz już wychodził do pracy, tylko będziesz tutaj dbał o porządek. Rozumiesz...? Ale, to ma być naprawdę porządek – podkreślił.

– Tak jest... Będzie porządek panie *Rapportführer*...

– Zobaczymy... – warknął. – Będziesz także dbał o porządek wokół wartowni.

Pokazał mi gdzie jest wiadro, grabie, miotła i inne narzędzia. Co tu dużo mówić, to było dla mnie zbawienne, ponieważ nie potrzebowałem wychodzić do pracy, tylko dbałem o czystość wokół bramy wyjściowej, wartowni, kuchni esesmanów i kuchni naszej więźniarskiej. Nie wymagało to ciężkiej pracy, a najważniejsze, że miałem możliwość zbierania petów po papierosach, które rzucali esesmani. Miałem możliwość także kręcić się koło kuchni, gdzie zawsze od kucharzy mogłem coś zorganizować, a nawet zabrać dla kolegów parę ziemniaków. Najważniejsze, że mogłem powoli odbudowywać swoje siły...

Nie trwało to jednak zbyt długo, może dwa, może trzy miesiące... Pewnego dnia, z samego rana zostałem wywołany przez pisarza obozowego, że mam się stawić do *Schreibstube*⁸. Poszedłem tam i powiedziano mi, że mam nie wychodzić do pracy, gdyż wyjeżdżam... Przeleciała mi, jak błyskawica, myśl – a może to już koniec i pojadę do domu... Było to 26 października 1940 roku, a już następnego dnia pożegnałem Papenburg i jechałem do Poznania...⁹

⁸ *Schreibstube* – Biuro Ewidencji Więźniów.

⁹ Patrz zał. nr 4 – Informacja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.